

Michał Choromański



Zazdrość i medycyna

Przetłumaczono na 18 języków

Michał Choromański

ZAZDROŚĆ I MEDYCYNĄ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-83-5

Copyright © Michał Choromański

Projekt okładki: Marcin Labus

Fotografia na okładce przedstawia scenę z filmu „Zazdrość i medycyna”, którego scenariusz powstał w oparciu o niniejszą książkę. Rok produkcji: 1973. Scenariusz i reżyseria: Janusz Majewski. Autor zdjęcia: Romuald Pieńkowski. Właściciel praw autorskich zdjęcia: FilMOTEKA Narodowa – Instytut Audiowizualny. Osoby (aktorzy) na fotografii: Ewa Krzyżewska (kreująca rolę Rebeki, żony Widmara) i Mariusz Dmochowski (kreujący rolę Widmara).

Rafałowi Malczewskiemu

O godzinie siódmej wieczorem w całym mieście zgasło światło.

Wtedy właśnie stary Widmar zapalił zapałkę i wściekły popatrzył na zegarek. Człowiek, na którego czekał, spóźnił się już prawie o kwadrans. To było nie do wiary! Widmar rozpiął na piersi guziki kamizelki, gdyż zrobiło mu się duszno, i podszedł do okna. „Co się stało ze światłem?” – pomyślał. Pienił się z rozpaczy i gniewu: piętnastominutowe oczekiwanie wyczerpało go do reszty. Nie wiedział, co to mogło znaczyć. Człowiek, na którego czekał, odznaczał się punktualnością i jemu w równej mierze zależało na spotkaniu. – Ja go nauczę! – powtarzał Widmar, sapiąc i kaszląc. Znowu zapalił zapałkę i spojrzał na zegarek. Wskazówka – do cholery! – nie przesunęła się nawet na włos. Sapał tak gwałtownie, że zapałki gasły mu w ręku jedna po drugiej jak na wietrze. Świecey nie znalazł. Wtedy po raz drugi zbliżył się do otwartego okna i wyjrzał przez nie, oparty piersią i brzuchem o parapet. Gorący podmuch wichru rozwiał mu natychmiast siwiejącą brodę i powpychał kłaki włosów do rozwartych ust, potem wyrwał spod kamizelki krawat i chłósnał nim starego Widmara po zmienionej z lęku i gniewu twarzy.

Na ulicy było szaro. Jedynie na rogu, gdzie ogród Widmara wyrwał się z zabudowań, przez sztachety i bramę kraśniały jesienne drzewa. Koło bramy po kostki w rdzawych liściach stał stróż.

– Czemu zgasło światło? – krzyknął Widmar ochrypłym głosem. Był doprowadzony do pasji.

– To w całym mieście – odrzekł stróż.

– Psiakrew! – i Widmar zamknął okno.

O tej samej mniej więcej porze w długim, białym korytarzu pewnego gmachu zadzwonił dzwonek po raz pierwszy.

Wtedy właśnie w mieszkaniu krawca Golda dzieci jego, pięcioletnia dziewczynka Anielka i dziewięcioletni Boruch, bawiły się jak gdyby nic w chowanym.

W tym mieszkaniu zgaszenie światła przeszło bez większego wrażenia, w pokoju i bez tego było jasno, był piątek i na stole pokrytym białym obrusem paliły się świece.

– Popatrz – powiedziała Anielka – na ulicy zgasła latarnia.

Miała czarne, wijące się włosy, brudne łapska i nos w sadzy.

– Mam latarnię w brzuchu – odpowiedział Boruch niechętnie.

Wielki dziwak był z tego chłopaka.

O tej samej porze monter rozdzielczy, Izaak Gold, brat krawca, ten sam, który przed chwilą wyłączył prąd w elektrowni, trzymał rękę na dźwigni i wołał na całą halę maszyn:

– Co się stało?! Cholery!!

Miasteczko tonęło w szarawej, jesiennej mgle, tylko na skrzyżowaniu ulic, niedaleko domu starego Widmara, kraśniały jawory i klony.

Stary Widmar wybiegł na ganek bez czapki. Wydało mu się, że ktoś zapukał, lecz nikogo nie było. Wiatr rzucił mu w twarz kupą krwawych liści. Widmar zamachał pięścią:

– Przecież nie mam już czasu czekać na niego dłużej! – Teraz z gardła jego oprócz pomruków wściekłości wyrzywały się łkania.

W tej właśnie chwili w wielkim, białym gmachu, położonym na końcu miasta, po raz drugi rozległ się dzwonek. Zaraz potem jakaś kobieta w bieli ze świecą w ręku pobięła co tchu wzdłuż korytarza. Wtedy dzwonek ustał.

Miasteczko pogrążone w ciemnościach odpoczywało. Sennie przesuwwały się czarne sylwetki przechodniów. W dużych lustrzanych szybach kawiarni widać było marmurowe stoliki, skąpo oświetlone świecami.

– Coś takiego się stało na elektrowni! – krzyknął stróż do Widmara. Gorący wicher przylegał do twarzy jak kompres. Płonące liście wirowały dokoła, jak gdyby z podziemia nagle wybuchnęły płomienie. Jesienne, purpurowe liście latały i wznosiły się we mgle nad miastem niby czerwona para.

Wtenczas w wielkim, białym gmachu po paru chwilach zmechanizowanej bieganiny nastąpiła znowu grobowa cisza. Brama wjazdowa rozwarła się bezszelestnie i wielkie, czarne auto wyjechało z niej, miękko kołysząc się na resorach. Nagle zmieniło bieg i pomknęło z maksymalną szybkością, trąbiąc i wyjąc klaksonem.

Mała Anielka siadła pod oknem i zapłakała:

– Czemu tata nie idzie?... Miał zaraz wrócić.

– Tata ma w brzuchu latarnię – wysapał chłopak. Było to najdziwniejsze dziecko spośród dzieci. Popatrzył na siedem świec palących się na stole, potem spojrzał przez okna: mgła i czerwone liście. – Słyszysz, jak gra trąbka? To samochód.

Elektrotechnik Izaak Gold nie wypuszczał z rąk dźwigni i wymyślał na całą elektrownię:

– Czy dowiecie się wreszcie, co się stało! Ścierwy!... – Starał się ukryć wzruszenie. Gdy przed chwilą wyłączył prąd, krew mu się rzuciła do głowy, a w sercu miał niepokój i ciekawość. Żyłasta ręka jednak nie drgnęła.

Na skrzyżowaniu ulic, przed gankiem swego domu, stary Widmar chodził tam i z powrotem.

– Nie dowiem się niczego – mamrotał zrozpaczony – niczego się nie dowiem...

Klakson wył. Czarna limuzyna mknęła z szybkością 110 km.

Wówczas to właśnie na ulicy Batorego, koło pomnika wielkiego męża stanu, człowiek, na którego czekał Widmar – nieszczęśliwy krawiec Abraham Gold, ojciec Anielki i Borucha, brat elektrotechnika – wyciągnął obie ręce przed siebie, spojrzał w niebo i zastygł.

Tragedia polegała na tym, że stary Widmar miał młodą żonę.

Gdyby usłuchał swoich znajomych, wybrałby lepszą dolę i nie ożeniłby się wcale.

Niestety, przekłete chore serce wciągnęło go do sypialni tortur, w której były nożyce, nożyczki i szczypce, potworne matnie, z których nie można było się wydostać. Kto wie, ile lat musiał jeszcze czekać, pożerany niepewnością, gdy każda minuta była igłą wbijaną pod paznokcie, a noc – rozżarzonym żelazem, na którym smażył się żywcem. Albowiem nie ma okrutniejszej nad niepewność męki, jak również nie ma granic podłości, na jaką się zdobyć może prawdziwa, wielka miłość!

O takiej podłości myślał Widmar, gdy tydzień temu spotkał krawca Abrahama Golda.

Krawiec Abraham Gold był bardzo brzydkim staruszką o gołęmbim sercu. Za takiego przynajmniej mieli go wszyscy klienci. Lecz okazało się później, że było inaczej.

– Słuchaj, Gold – powiedział Widmar, gdy tylko usiedli obaj na tarasie miejskiej kawiarni – słuchaj, Gold. Przyszło mi jednak do głowy, że to wszystko jest nędznym nabieraniem z twojej strony.

Gorący jesienny wicher dał gwałtownymi podmuchami. Łopotały płócienné markizy niby żagle białe w granatowe pasy.

– Ech, niech pan tak nie mówi – odrzekł krawiec ze smutkiem. Oparł siwowłosą, pomarszczoną twarz na prawej ręce, potem oparł ją na lewej i patrzył na Widmara nieruchomo wyblakłymi, łzawiącymi się oczami. Wzrok ten, zupełnie niedorzeczny, sprawił Widmarowi wyraźną przykrość. Był przeczulony i podejrzewał każdego, nawet tego biedaka krawca, że nim pogardza.

– Dlaczego pan tak prędko się zestarzał? – zapytał ni stąd, ni zowąd. Zrobiło mu się jakoś zimno i czuł instynktowny wstręt do tej wysuszonej twarzy. Dlatego może po raz pierwszy powiedział do Golda: „pan”. – Niech pan spojrzy na mnie. Jesteśmy prawdopodobnie w jednym wieku, ale niech pan zobaczy, jak ja się trzymam. Co prawda mam tylko pięćdziesiąt pięć lat. A pan?

– Mam trzydzieści osiem – odpowiedział krawiec.

– Co?!

Dwóch panów, czytających gazety przy sąsiednim stoliku, podniosło głowy z zaciekawieniem. Byli w letnich koszulach, bez marynarek. Wicher szarpnął. Koszule wydeły się jak białe banie.

– Trzydzieści osiem – powtórzył krawiec zawstydzonym tonem, jak gdyby chciał powiedzieć: „przepraszam pana bardzo”.

– Dobrze już, dobrze – mruknął Widmar podejrzliwie. W duchu myślał: „Jak mogłem uwierzyć czemuś podobnemu nawet na sekundę!” Popatrzył na wychudzonego, obrzydliwego staruszka, siedzącego przed nim, i znowu zrobiło mu się zimno. Miał wrażenie, że siedzi koło wentylatora. Albo jeszcze gorzej – lecz odrzucił myśl o tej innej możliwości.

– Wracajmy do naszej sprawy – ciągnął sztucznym, chłodnym tonem. – Co widziałeś wczoraj, Gold?

– To samo co zawsze. Tę firankę znam już na pamięć. Tylko... panie Widmar, ja... nie mogę tego zrobić. – Krawiec patrzył modłącym się wzrokiem. Ten starzec wyglądał na człowieka, który lada chwila się rozplacze. Pomimo to niespokojny Widmar posądział go nadal o pogardę.

Milczeli przez dłuższy czas obaj. Potem stary Widmar wypowiedział z widoczną męką:

– Słuchaj, Gold, przecież zawsze szyleś dla mnie ubrania.

– Szylem – odrzekł krawiec cicho.

– Słuchaj, Gold, przecież znasz mnie już przeszło dziesięć lat. A ja zupełnie nie wiem, czy miałeś na przykład żonę. Może ty nie wiesz nawet, co to znaczy męka? – Widać było, że Widmar przyłapał siebie na jakimś strasznym głupstwie, gdyż nagle zaczerwienił się aż po uszy i krzyknął wściekły: – Nie ma żadnej męki! Nie ma! Chcę tylko prawdy, prawdy.

– Nie ma żadnej męki – powtórzył jak echo krawiec Abraham Gold.

– Ja posądzam cię, Gold, o zwykły szantaż. – Różowy, purpurowy, fioletowy Widmar, zdawało się, zaraz pęknie i wysadzi w powietrze kawiarnię. Krawiec oderwał ręce od twarzy i wyciągnął je błagalnie.

– Niech pan mnie nie straszy, panie Widmar...

Wicher wniósł na taras obłok kurzu i zerwał obrus z jakiegoś stolika. Był przeraźliwie gorący, lecz pomimo to Widmara wciąż męczyło zimno. Stanowczo prócz wiatru był przeciąg. Jakiś śmierdzący powiew.

– Kelner! – krzyknął Widmar w furii. Obecnie był niepohamowanym bydlęciem, jak zawsze gdy chodziło o nią. W takich chwilach rozdawał się z szaloną szybkością, wprost w oczach. Jeden Widmar rósł i puchł do potwornych rozmiarów, miał oczy nalane krwią, na wargach pianę, rozsadał go gniew. Drugi Widmar malał w oczach jak pęknięty dziecinny balonik, siedział skulony w kącie, drżał i bał się samego siebie.

– Kelner!! – ryczał ten pierwszy – proszę o grog, o grog, natychmiast! Czy tu nad moją głową nie zapomnieli zamknąć wentylatora? – I nagle wyrzwał pięścią w stół: – Dlaczego ty na mnie tak patrzysz, ty?!

Krawiec Gold siedział na koniuszku krzesła. Jego wymięta marynarka była pokryta puchem i pierzem. Zdawało się, że ten sam puch i pierze rosną na jego głowie. Patrzył nieruchomym, mętym wzrokiem i stanowczo nic prócz niewolniczego strachu w tym wzroku nie było. Lecz stary Widmar wyczuwał w nim pogardę, a nawet ukrytą szyderczą myśl. Nie było siły, która mogłaby mu wybić z głowy to głupie przypuszczenie.

– Panie Widmar – wyszeptał krawiec. Jego żółte, drżące ręce wyciągnęły się do Widmara błagalnym, lecz jednocześnie natarczywym ruchem. Stary cofnął się przerażony, aż krzesło zaskowyczało pod nim. – Panie szanowny, szanowny panie Widmar!... Za nic nie mogę zgodzić się na to... bo... widzi pan... jeżeli pan się dowie na pewno, to pan w takim stanie może... – Martwa, wstrętna ręka dosięgła wreszcie Widmara i nagle kurczowo schwyciła go za guzik kamizelki. Widmar wybałuszył oczy. Widział suchy, kościsty palec z granatowym paznokciem jak u nieboszczyka.

– Co mogę? – zapytał.

Odpowiedź krawca była lekka jak westchnienie. Prawie niedosłyszalna.

– Może pan popełnić Bóg wie co... – wykrztusił. To było wszystko. Ogólnikowe, nic nie mówiące zdanie. Ale właśnie ogólnikowość tego powiedzenia przynębiła Widmara najbardziej.

– Uff – westchnął po chwili – to mnie pan nastraszył. – Potem zaryczał: – Kelner!! Grog, natychmiast szklankę grogu! Gdzie tu u was jest, do pioruna, wentylator? To niedopuszczalne, aby w taki duszny dzień człowiek marzył jak szczenię. Czym tam śmierdzi? Proszę zawołać dyrektora! Przecież tu śmierdzi jak... – nie dokończył po raz drugi i odrzucił nasuwające się porównanie. Coś zimnego, o ciężkim zaduchu szło od samego krawca. Spojrzał na niego z nienawiścią. Gold, zdawało się, uczył tę nienawiść i skręcał się na krześle. Widmar miał chęć zgnieść go jak pluskwę. Uczyniłby to zapewne, gdyby nie przekłete chore serce. Łomotało i rozsadzało mu klatkę piersiową. – Uff! – jęknął. – Ten chłód, ten wstrętny chłód!

Wicher przebiegł przez taras, taki duszny i dławiący, że pot wystąpił wszystkim na ciele jak gorąca para.

– Brr... – wzdrygnął się Widmar z zimna. Był w swym rozjuszeniu prawie piękny. Twarz o czarnej, siwizną obramowanej brodzie, orlim nosie i płonących oczach przypominała proroka. Jakaś młoda kobieta, która przechodziła obok nich wzdłuż stolików, spojrzała na niego z zachwytem. Tu się kryła jego zguba! Te młode kobiety! Im był starszy, tym więcej podobał się wszystkim! Lecz teraz nawet na nią nie popatrzył...

– Panie Gold – znowu nazwał krawca „panem” – wykona pan wszystko. Ma pan dzieci i potrzebuje pan pieniędzy. Ale ile pan potrzebuje? Co?

Pożałował swych słów. Nie wolno było poruszać tego tematu. Zresztą niech diabli porwą wszelką delikatność! Oddychał z trudem. Lewy bok wydymał mu się co sekunda. Był zdyszany, jak gdyby przybiegł pędem na miejsce jakiegoś nieszczęśliwego wypadku.

Krawiec Gold patrzył na niego długim, umęczonym wzrokiem. Można było pomyśleć, że się o coś modli.

– Panie Widmar – powiedział nagle – Boruch pyta mnie się dzisiaj, dlaczego jestem taki mały.

– Boruch? Kto to?

– Mój syn. Dlaczego, tata, ty jesteś taki maleńki? Czy ty jesteś mały chłopczyk?

Stary Widmar słuchał z wielką uwagą. Coś kojącego było w tym dziwnym opowiadaniu. „Mój Boże – myślał jednocześnie – gdyby taki nastrój panował i między nami! Dlaczego nie możemy mieć dzieci? Ach, moja najdroższa!”

– „Nie jestem mały chłopak”, odpowiadam, „jestem tylko niskiego wzrostu”. „Aha, rozumiem, to w takim razie jesteś garbaty.” „Nie”, odpowiadam, „nie jestem garbaty. Zwyczajnie jestem sobie niski. Zobacz, są przecie ludzie wielcy i mali.” „Aha, rozumiem, to w takim razie jesteś jamnik.”

– Opowiadasz mi bzdury! – rozgniewał się Widmar raptem. Chwycił się za lewy bok i charczał. – Serce mi zaraz pęknie.

– Ech, to są takie głupstwa – zgodził się krawiec szeptem. Był zawstydzony jak wtedy, gdy się przyznał, że ma trzydzieści osiem lat.

– Ale serce to nic nie znaczy – rzekł Widmar i wstał ciężko i niezgrabnie. Doskonała myśl przyszła mu do głowy. „Boruch? – pomyślał – to dobrze wiedzieć.”

– Gold – zaczął – za dolary można wychować syna na inżyniera – i zamilkł groźny, a zarazem kuszący. Jego piękne, o ciemnych błyskach oczy ześliznęły się po postaci krawca.

Abraham Gold stanął obok niego. „Skąd on ma na sobie tyle puchu? – pomyślał Widmar przelotnie – cała pierzyna!” Widać było, że krawiec walczy z czymś w duszy. Po chwili z jego zaczerwienionego oka wypłynęło kilka łez mętnych i brudnych, które pociekły wzdłuż

nosa. Drugie oko pozostało jednak czyste i spokojne. Abraham Gold szeroko rozwarł usta, chcąc coś wypowiedzieć. Stary Widmar nie dosłyszał.

– Co? – i schylił się do jego warg. Znowu nie dosłyszał. – Co? – powtórzył i przysunął twarz zupełnie blisko. Wtedy uczył taki zawrót głowy, że aż się zachwiał na nogach. Z ust krawca powiało na niego potwornym chłodem i smrodem. Nie był to żaden wentylator. Jego drugie porównanie było prawdopodobniejsze! Zionęło na niego trupiarnią!

Wówczas po raz pierwszy od nie wiedzieć ilu godzin zapomniał Widmar o swym nieszczęściu i spojrzał na krawca z dobrotliwym zaciekawieniem, prawie ze współczuciem. Podobnych wzruszeń doznawał na pogrzebach.

– Spotkamy się jutro – wyrzekł Gold z wysiłkiem – powiem panu jutro...

– Niech mi pan tym zwlekaniem nie zawraca głowy! – krzyknął Widmar. – Nie dam się nabierać jak głupi! – Walnął pięścią w stół. Wicher, taki sam jak on pasjonat, wleciał z hałasem i skowytem na taras, przewrócił w kącie czerwony parasol i prawie rzucił rozmawiających sobie w objęcia. W tej samej chwili ze stolika zleciała szklanka, którą Widmar strącił pięścią. W tej samej chwili przeszła obok jakaś pani i powiedziała od niechcenia, jak gdyby do siebie:

– A cóż porabiają w domu młode kobiety?

Wielki, czerwony parasol parł na nich jak żywy. Wreszcie upadł między nimi, zasłaniając sobą kawiarnię. Nastąpiła cisza.

„Miałem halucynacje”, pomyślał Widmar i z trwogą popatrzył na plecy znikającej pani.

– Jutro o tej samej porze – powiedział i oddalił się, nie podając krawcowi ręki. Nie chciał dotknąć tego rozkładającego się żywcem starca. Poza tym kto wie, czy starzec nie szydzi z niego i nie pogardza nim w duszy. Gdyby tak było w istocie, nie darowałby sobie tej sprawy nigdy.

Fala podejrzliwości, wprost jakaś mania prześladowcza, ogarnęła go na nowo. Obejrzał się w drzwiach. Ohydny, na wpół martwy krawiec stał nad stłuczoną szklanką pośrodku kawiarni i rozmawiał z kelnerem. Wyglądał na zawstydzonego i bardzo nieszczęśliwego. Widmar otarł twarz chustką i wypadł z kawiarni na ulicę.

„Taka podłość! Taka podłość!” – myślał. Dławił się od wyrzutów sumienia. Wzdłuż prawej ręki biegały mrówki, może dlatego, że przy powitaniu podał ją krawcowi. Schował więc rękę do kieszeni i mknął po ulicy jak wicher. Potrącał przechodniów, nie przeproszał, nie zatrzymując się, pędził dalej coraz prędzej.

„Taka podłość, taka podłość! – myślał o sobie. – Nigdy nie przypuszczałem, że miłość i podłość to jedno i to samo.”

Przed oczami wciąż jeszcze miał obraz złośliwej pani, która przeszła obok niego w kawiarni. „Cóż to za głupstwo ona powiedziała? Czy to może wysyczał wiatr?”

Niepokój i uczucie, które znał na pamięć, uczucie, którego był niewolnikiem – owładnęły nim nagle i zasłoniły sobą cały świat. Ulica była pokryta żalobnym welonem, słońce huśtało się nad domami jak czarna piłka, każdy mężczyzna, którego spotykał, był zdrajcą i trupem, każda kobieta była fantastycznym kwiatem i – prostytutką. – Byle prędzej być w domu! – mamrotał jak obłąkany. Wicher pchał go z tyłu niczym siłą diabelską, pchająca ku przeznaczeniu.

Nagle na rogu zobaczył kobietę w czerwonej, prążkowanej czapeczce i z czerwonym, wąskim szalem łopoczącym przy szyi.

Staął jak wryty. – To niemożliwe! – jęknął. Przeraził się jej jak piekielnej zjawy. Wszystko przed jego oczami zamigotało z szaloną szybkością, i drzewo, o które się oparł, raptem samo zaczęło walić się na chłodnik.

Kobieta w czerwonej czapeczce i szalu szła w jego stronę.

Patrzył na czerwień, okrywającą jej głowę i szyję, jak byk wymęczony i rozwścieczony do ostateczności.

Kobieta, która szła naprzeciw, nie była sama! Obok niej szedł jakiś pan w jasnych spodniach i granatowej marynarce.

Wtedy mgła i ciemność otoczyły wszystko i na zawsze i Widmar zamiast czapeczki i szala ujrzał czerwoną kałużę krwi. Zbolałe serce gotowe było wyskoczyć na jezdnię, po głowie ktoś walił z całej siły pięściami...

„Jestem naprawdę chory”, pomyślał Widmar. Zawrót głowy i atak minął błyskawicznie: kobieta, jak się okazało, miała cienkie, karminowane usta i była blondynką.

Uśmiechnął się niedobrym, niejasnym uśmiechem i popędził dalej. Rękę wciąż trzymał w kieszeni, jak gdyby mógł schować do kieszeni wstyd i własną hańbę. – Jestem chory – powtórzył – trzeba się leczyć. – Coś śmiesznego i przykrego zarazem skojarzyło się w nim ze słowami: „leczyć się”, gdyż uśmiechnął się, a twarz miał złą i rozbawioną jednocześnie. Lecz koło swego domu opanował się zupełnie i wszedł na ganek pewnym, twardym krokiem.

Żonę zastał w pokoju jadalnym. Siedziała schylona nad książką. Zauważył od razu, że książkę trzyma do góry nogami. Przymknął oczy, aby ukryć przewrotny blask źrenic, i rzekł cicho:

– Czytasz zapewne coś zajmującego?

– Nie czytam wcale – odpowiedziała. Podniosła się z krzesła i pocałowała go w usta. – Co ci jest?

Nie odpowiedział, przerażony tym pocałunkiem. Rzucił się w bok. Pocałunek nie miał smaku. Odniósł wrażenie, że dotknął wargami kawałka papieru. Jednak opanował dreszcz obrzydzenia i pogłaskał żonę po wijących się, czarnych włosach.

– Czy nikogo nie było? – zapytał od niechcenia. Bał się spojrzeć na nią, aby nie zauważyć jej kłamliwych oczu. Z ulgą usłyszał przeczącą odpowiedź, choć nie uwierzył jej wcale. – Nikt? – powtórzył – wydawało mi się, że spotkałem doktora.

Nawet nie drgnęła. Oczy miała jak zawsze matowe i spokojne i nic, absolutnie nic nie można było po nich poznać. Wtedy stary Widmar uczuł poprzednią nieuleczalną rozpacz. Stał obok żony i powiedział wolno:

– Czy chcesz, żebym znowu mówił o tamtym... – Nie wysłuchał nawet jej odpowiedzi. Męczący szereg ludzi, nienawistne męskie postacie przeszły przez jego mózg i odmaszerowały w wyobraźni jak pluton widm. Wszystkich tych mężczyzn umiał na pamięć, nienadaremnie przez całą noc odmawiał litanię sprośnych nazwisk. Czuł, że niedługo wybuchnie na głos, zdradzając wszystko: *Kyrie elejson! Chryste elejson! Kyrie elejson!* Rotmistrz I pułku lekkokonnego Andrzej Rozjemczy, major sztabu generalnego Zgar-Wisowski, doktor medycyny i szarlatanerii Kroczyński i wielu innych... *Kyrie elejson!*

Lista przeklętych nazwisk była nieskończenie długa. Walcząc ze wspomnieniami, które odbijały się jak zgaga, stary Widmar powtarzał: – Rebeko, Rebeko...

Widział na tle szyby ciemny profil żony i czekał błagalnie. Jeden ruch jej ręki, jedno poruszenie głowy wystarczyłoby, aby całe armie uwodzicieli świata zniknęły w niepamięci. Ale żona jego tego ruchu nie zrobiła i Widmar postanowił szybko: „Nie, nie. Nic jej na razie nie powiem.” Pomimo zdenerwowania był znowu ostrożny i wyrachowany, bo jedynie w chwilach umiarkowanej miłości tracił głowę, gdy zaś miłość dochodziła do zenitu i łączyła się tam z podłością, odyskiwał pewność siebie. „Nie powiem jej nic i pokażę, gdzie prawda.”

– Jestem od paru dni bardzo zmęczony, nie powinnaś się na mnie gniewać – rzekł nieszczercze.

– Ależ ja się na ciebie nie gniewam – i spokojnie zasuwiała firanki na oknach.

Patrząc na jej ramiona piękne aż do bólu, Widmar powtarzał bez sensu: – Rebeko, Rebeko... – Oddałby wszystko, aby się dowiedzieć, co myśli w tej chwili ta dziwna kobieta. Mieszkał z nią przez dwa lata pod jednym dachem i dopiero teraz przekonał się, że nic o niej nie wie. – Rebeko!...

A gdy jęczał w ten sposób, patrząc z trwogą na ukochaną linię ramion, nie przypuszczał nawet, że mniej więcej tak samo wykrzykuje w duchu doktor Tamten, szybkimi krokami zbliżający się do ich domu. Jednak było właśnie tak. Z tą tylko różnicą, że doktor to imię powtarzał z wesołą bez troską, a czasem z odcieniem złośliwości: – Rebeko, Rebeko! – i pogwizdywał przy tym w sposób nader lekkomyślny. Zbliżał się do ich domu wielkimi, zwinnymi krokami. Zdawało się, że się toczy po chodniku, uperfumowany i rozradowany.

Czarna głowa chirurga Tamtena była rozwichrzona przez upalny wiatr. Wiatr igrał z jego rozpiętą granatową marynarką, zachodzące słońce błyszczało żalobnie na lakierkach chirurga Tamtena i stygło dużą kroplą krwi na perle jego krawata. Chirurg Tamten miał pod pachą kapelusz i laskę, a w tylnej kieszeni – zawsze nabity browning. Szedł, dziwnie podskakując, jak gdyby tańcząc, po kociemu schylając i prostując grzbiet. Miał przepiękne, żółtawe oczy i gdy mimochodem darzył wzrokiem spotkane kobiety, zdawało się, że rzuca w nie garściami kwitnącego mlecza. Gwizdał przy tym rytmicznie murzyńską piosenkę, a w duchu dorabiał do niej własne słowa: „Rebeko, Rebeko, coś na nas czeka?”

Przeszedł obok kawiarni, nagle zawrócił i wszedł do niej, pozostawiając za sobą otwarte na oścież drzwi, które wichler zamknął natychmiast z hałasem jakby wystrzału. Widocznie gdzieś w głębi chirurg był bardzo zdenerwowany, gdyż przy tym ostrym, choć niewinnym grzmocie odruchowo chwycił ręką za tylną kieszeń spodni. Lecz po chwili wyprostował się, bez troski i głupkowato uśmiechnięty, kelner zbliżył się do niego z poufałością dobrego znajomego i chirurg obdarzył go pięknym, żółtawym wzrokiem.

– Koniak i wodę sodową – rzekł i nagle urwał zdziwiony.

Pośrodku tarasu, w wąskim przejściu między stolikami klęczał brzydki, wstrętny staruszek i zbierał z liliowego chodnika kawałki stłuczonej szklanki. Starszy kelner, Piotr, pochylony nad nim uśmiechał się chłodno i nieżyczliwie.

– Daję panu raz jeszcze słowo, że to nie ja stłukłem – słyszał doktor Tamten usprawiedliwianie się staruszka – nie ja to zrobiłem, ale mogę przez grzeczność pomóc panu pozbierać.

– Idź pan stąd lepiej, idź pan – mruczał starszy kelner i wreszcie, widocznie zniecierpliwiony do reszty, chwycił staruszka za łokieć i przemocą postawił na nogi. Wtedy chirurg poznał krawca Golda.

– Co pan tu robi? – zapytał.

Wicher przebiegł wzdłuż tarasu, blacha zagrzmiała i zaskowyczała żałośnie, kelner przyniósł chirurgowi Tamtenowi koniak i wodę, chirurg wypił od razu pół syfona i zapytał powtórnie:

– Co pan tu robi?

Ale pomiędzy nim a starym krawcem stał obecnie kelner w białej kurtce.

– Nie pana pytam – podniósł rękę chirurg. – Gdzie się podział ten krawiec?

Jednak był to jeszcze ten sam kelner, który w odpowiedzi uśmiechnął się słodko i pobłażliwie:

– Pan doktor mówi o krawcu? – w głosie kelnera zabrzmiało uprzejme zgorszenie. – Krawiec stłukł szklankę i nie ma czym za nią zapłacić.

Chirurg nacisnął kurek syfonu, woda trysnęła syczącą smugą, chirurg spojrzał na butelkę z żółtym koniakiem zadowolony i rozradowany, potem spojrzał przez okno na ulicę umierającą w słońcu i przypomniał sobie znowu ulubioną piosenkę: „Rebeko, Rebeko, coś na nas czeka?”

Przy stoliku obok siedział człowiek, któremu chirurg miał operować wyrostek robaczkowy. Człowiek widocznie umierał z pragnienia i gorąca, pił szklankami wodę sodową i jadł agrest. Chirurg mrugnął do niego okiem, pogroził palcem wesoło i trzy razy powtórzył: – Pestki, pestki, proszę uważać na pestki.

Wszystko było jak najlepiej i nikt nadal nie przypuszczał, że chirurg Tamten jest niespokojny i pełen najgorszych przeczuć. Nawet wówczas, gdy tak głupio nastraszył go krawiec Gold, niczym nie zdradził istotnego stanu swej duszy. Podniósł się tylko z miejsca i spojrzał w ślad za uciekającym krawcem swymi żółtymi jak koniak oczami.

Chirurg pił trzeci kieliszek. Już w mocnej głowie szumiała miłość, na dnie zaś każdego następnego kieliszka leżała naga kochana kobieta. Wszystkie były podobne do siebie, miały czarne włosy i ciemne bizantyjskie twarze. I każdą z nich chirurg nazywał tym samym imieniem. Potem uczuł, że czas nagli, że trzeba iść, i chirurg Tamten porywczym ruchem wziął z sąsiedniego krzesła kapelusz i laskę. Tym ruchem prawdopodobnie wypłoszył kogoś, gdyż wówczas coś ciemnego, jak gdyby cień jakiś lub nietoperz, prześliznęło się obok z przykrym szelestem. Chirurg obejrzał się szybko.

– A, to pan? Co pan tu robi? – zapytał krawca Golda.

Starzec zastygł na miejscu, jakby przyłapany na gorącym uczynku. Po chwili wyszeptał:

– Pozdrawiam pana doktora.

Sposób wyrażania się krawca był chirurgowi dobrze znany jeszcze ze szpitala. Zaśmiał się.

– Zuch z pana, trzyma się pan dobrze. Jakże tam żebra? – i natychmiast w fachowym umyśle lekarza powstał obraz sali operacyjnej, pośrodku której leżał na stole uśpiony Gold. Resekcja. Trzy dolne żebra. Dreny. Szok pooperacyjny do czterdziestu stopni. Poza tym – przebieg normalny. W duchu chirurg zawołał: „Operacje, operacje!” To była druga rzecz na ziemi, którą naprawdę kochał. Z lekka rozmarzony koniakiem, ukochaną kobietą i medycyną patrzył prawie z rozczuleniem na zgarbionego staruszka, któremu uratował życie. Ten stał tuż przy nim. Miał głowę pochyloną na piersi, głowa trzęsła się, rzadkie, rozczochrane włosy chwiały się i kołysały jak pierze dziwaczego ptaka. Zaledwie oddychał, ale pomimo to z ust jego wypływał smugami przykry, ciężki zapach. Ten oddech, chłodny i smrodliwy, uderzył chirurga słodkimi wspomnieniami. Chirurg pociągnął nosem, nie zorientował się, popatrzył na krawca niewidzącym spojrzeniem i pomyślał zdziwiony i wzruszony: „Co to?” Odpychający, trupi zapach przypominał mu nagle zapomniane, młodzińcze czasy. Chirurg powtarzał: – Co to? – Pociągnął nosem raz jeszcze i krzyknął radosny i rozrzuwiony: – Prosektorium!

– Szkoda – mruczał pod nosem – szkoda...

Zapomniał o istnieniu krawca. Człowiek, któremu miał operować wyrostek robaczkowy, patrzył na nich i podnosił brwi coraz wyżej. Było bardzo gorąco. Wiatr dusił i wywoływał poty. Chirurg roztargnionym ruchem wyjął chustkę i wytarł sobie szyję. Ruch ten jego był jak zawsze gwałtowny i kanciasty. Chirurgowi zrobiło się smutno i radośnie jednocześnie. Myślał o minionych studenckich czasach, wtem nagle coś znowu mignęło przed jego twarzą i ktoś krzyknął: – Pfe!! – Wtedy Tamten opanował się, zapomniał o marzeniach i zdumiony do najwyższego stopnia zapytał ostro:

– Co panu jest?

Krawiec, który przez cały czas tkwił koło jego stolika, zrobił teraz krok w tył, podniósł rękę, jak gdyby chciał ukryć swą twarz przed ciosem, i jęknął raz jeszcze. W jego załzawionych oczach odmalowała się rozpacz. Cofnął się znowu o krok, a potem przemknął między stolikami i pobiegł w stronę drzwi. Było to nieoczekiwane i nad wyraz przykre. Chirurg zerwał się z miejsca i spojrzał w ślad za uciekającym krawcem swymi żółtymi jak koniak oczami. Był jak gdyby ubawiony całą tą historią, tak przynajmniej myśleli wszyscy w kawiarni, ale nikt nie wiedział, że w duszy pomyślał ponuro: „Wygląda to tak, jakby ktoś z nas dwóch miał nieczyste sumienie.” Ale potem pomyślał: „Rebeko!” – i życie znowu nabrało sensu, i natychmiast zgasły urojone strachy. Laskę i kapelusz wziął pod pachę. Linia kochanych ramion stała się znowu dla niego wszystkim. Tak samo jak i dla starego męża.

Stary mąż, Widmar, patrzył na tę linię, stojąc tuż za plecami żony we framudze okna. Oddychał znajomym zapachem ciała i w lekkim omroczeniu patrzył na jej szyję, która w swej nierzeczywistej piękności była dlań nawet tragiczna. Sapał. Serce znowu rozsadzało mu pierś. W skroniach i uszach tętniła krew tak głośno, jak gdyby ktoś bębnił palcami w szybę lub szybkim, dudniącym krokiem szedł po drewnianym chodniku.

Tak było w istocie. To chirurg Tamten podskakując i tańcząc zbliżał się do ich domu. Wystukiwał nogami takt wesołej murzyńskiej piosenki. Gdy zaś zatrzymał się przed domem, zobaczył przez okno małżonków i zamachał ręką. Wywijał przy tym laską jak młotkiem chirurgicznym. Żona spojrzała na doktora zimno i nie poruszyła się z miejsca. Stary Widmar uśmiechnął się przyjaźnie, wyszedł na jego spotkanie i sam otworzył drzwi. Chirurg Tamten przywitał się z nim szczerze i serdecznie, a Widmar smętnie popatrzał w jego oczy piękne i żółte.

– Jak pańskie serce?

– Och, lepiej o tym nie mówmy – i Widmar przepuścił przed siebie gościa.

Nad miastem sunęły cytrynowe chmury i dziwna, krwawa mgła kłębiła się na zachodzie. Z gorącego południa mknęły kudłate obłoki, dopędzały się wzajemnie i zlewały się nad miastem w brudną lawinę. Potem znowu rozpraszały się, toczyły po niebie mgliste kule i znikwały na zachodzie w czerwonym dymie.

Na ulicy Batorego, koło pomnika wielkiego męża stanu, rosły modrzewie i jawory. Wiatr szumiał liśćmi, łamał drobne gałęzie, trząsł koronami. Porywczy i niespodziewany, zerwał czapkę z głowy policjanta i podrzucił ją w górę niby duży, granatowy liść. Policjant pobiegł za czapką, złapał ją wreszcie koło parkanu i włożył na głowę, przymocowując do podbródka rzemykiem.

Wiatr pędził chmury, które, ciemne i niespokojne, mknęły nad miastem coraz szybciej.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU
ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI